Czysta chustka i koszula nawet z trampa robi króla.

SUCHY DESZCZ

● Klimat pustyń jest kontynentalny i powietrze jest tam niezwykle suche. Dlatego obłoki nad pustynią są zjawiskiem nader rzadkim, a jeszcze rzadziej pada tam deszcz. Ale nawet kiedy to się zdarza, krople deszczu natychmiast parują w powietrzu, nie zdoławszy dosięgnąć powierzchni ziemi. W takich wypadkach można widzieć, jak pada deszcz, można stać pod nim i pozostać zupełnie suchym. To jest właśnie — suchy deszcz.

SZEPT GWIAZD

● W Jakucji i innych okolicach Związku Radzieckiego, gdzie zima bywa bardzo sroga i temperatura powietrza spada do —45 stopni i niżej, powietrze przy wydechu natychmiast zamarza. Wydaje to szczególny, charakterystyczny dźwięk, przypominający szelest przesypywanego ziarna. Dźwięk ten Jakuci nazywają „szeptem gwiazd".

MYSZKI DO WYNAJĘCIA

● W Londynie jedno z muzeów przyrodniczych uruchomiło wypożyczalnię żywych zwierzątek dla uczniów. Zamiast oglądać wypchane eksponaty, można poprosić o zabranie do domu morskiej świnki, ropuchy czy białej myszki. Oczywiście trzeba zagwarantować zwrot zwierzątka w stanie „nie naruszonym".

STRUSIE PASTUCHAMI

● U wielu afrykańskich ludów stad zwierząt domowych pilnują strusie. Ptaki te są bardzo dobrymi dozorcami. Uderzeniami dzioba zmuszają niesforne zwierzęta do powrotu do stada i nie dopuszczają do swych podopiecznych żadnego wroga.

MOST REKORDZISTA

● W Czechosłowacji oddano do użytku, największy w kraju i na świecie, jednoprzęsłowy most. Spina on dwa brzegi Wełtawy nad zaporą wodną w Orliku. Rozpiętość stalowego łuku mostu wynosi 330 metrów i o 41 metrów przewyższa podobny łuk, największego dotychczas mostu tego typu koło wodospadu Niagara w USA.

KURY PRZECIWKO ŚLIMAKOM

● Wyspy Filipińskie nawiedziła ostatnio plaga morskich ślimaków. Straty na polach i w ogrodach są ogromne. Jak dotąd najskuteczniejszą bronią zastosowaną przeciwko inwazji ślimaków są... kury.

WIELORYBY NA PUSTYNI

● Chodzi tu oczywiście o szkielety wielorybów, które znaleziono niedawno w piaskach pustynnego półwyspu Mangyszlak na Morzu Kaspijskim. Szkielety tych największych ssaków morskich pochodzą sprzed 10 milionów lat. Wówczas to Morze Kaspijskie łączyło się z Oceanem Spokojnym, stanowiąc jego wielką zatokę.

PISZCIE DO NASZEGO KLUBU

● Klub Nastolatków „Swiata Młodych" to nie tylko wielkie dyskusje w gazecie o nowoczesności, ambicji, solidarności itp. Chcielibyśmy również drukować w Klubie Wasze listy z opiniami, uwagami o różnych codziennych sprawach, które dzieją się wokół Was, nawet i drobnych, ale ważnych, żywo Was dotyczących. Chcemy drukować listy o kłopotach, wątpliwościach. Po to, żeby dziewczęta i chłopcy z Klubu Nastolatków mogli sobie nawzajem poradzić, pomóc.

Wcale nie piszecie na przykład o sprawach harcerskich. Czyżby nie było w drużynach żadnych problemów, które warto by spróbować wspólnie przegadać w naszym Klubie?

Foto J. Dąbrowski

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 40 (1614) Warszawa, piątek 19 maja, 1967 r. Cena 50 gr

Tak postępują harcerze

DZIEŃ 8 MAJA i czyn dwóch dzielnych harcerzy na długo pozostaną w pamięci mieszkańców Woli Rasztowskiej koło Radzymina.

Tego właśnie dnia około godziny 14, do stawu, znajdującego się w pobliżu zabytkowego pałacu, w którym mieści się szkoła podstawowa, wpadła czteroletnia dziewczynka. Jedynym świadkiem wypadku była kobieta pirająca w pobliżu bieliznę. Wszczęła ona natychmiast alarm. Krzyk jej pierwsi usłyszeli dwaj harcerze, uczniowie VIII klasy — Krzysiek Giska i Zygmunt Szewczyk.

Gdy chłopcy dobiegli nad brzeg stawu, dziewczynka znikała już pod wodą. Obaj harcerze bez wahania rzucili się na ratunek tonącej, wydobywając ją spod wody.

Błyskawiczna orientacja i odwaga Krzyśka i Zygmunta zapobiegły tragicznemu wypadkowi.

Być sprawnym i odważnym — to cechy, które przyswajali sobie harcerze podczas trwania ostatniego alertu harcerskiego. Pięknie je pojęli i zastosowali w życiu Krzysiek i Zygmunt z Woli Rasztowskiej. Tak właśnie postępują harcerze.

PIONIERSKI „MAŁYSZ"

Na moskiewskiej wystawie obrazującej osiągnięcia gospodarcze Związku Radzieckiego otworzono nową ekspozycję — pawilon „Młodych przyrodników i techników", w którym znajduje się wiele ciekawych eksponatów wykonanych przez waszych kolegów ze wszystkich republik radzieckich. Oto jeden z eksponatów — malolitrażowy, uniwersalny traktor „Małysz". Przeznaczony on jest do lżejszych prac polowych. Posiada silnik o mocy 8 koni mechanicznych.

Foto CAF

Czy będziemy żyć 150 lat?

NIE WIADOMO, SKĄD się wzięło twierdzenie, że człowiek w dawnych tysiącleciach był zdrowszy i silniejszy, oraz żył znacznie dłużej niż my dzisiaj. Nic błędniejszego: człowiek epoki kamiennej, przebywający w ciemnych i wilgotnych jaskiniach, cierpiał na reumatyzm kości i stawów, miał krzywicę oraz próchnicę zębów, a przeciętna długość jego życia nie przekraczała 20 lat.

Ale już wtedy Homo Sapiens, podpatrując przyrodę, wyciągał wnioski dla siebie. Zauważył, że zwierzę ze złamaną kończyną ucieka w niedostępne miejsca i leży cierpliwie. Człowiek zaczął postępować tak samo: złamał rękę, więc kładł się i nie próbował wstawać tak długo, aż kość się zrosła. Po pierwszych odkryciach nastąpiły inne: oto spuchnięta ręka przestała boleć, gdy zanurzono ją w zimnej wodzie. Wiele wody musiało jednak upłynąć, zanim nasz praczłowiek, zamiast tkwić ze spuchniętą nogą w lodowatym źródle, zaczął stosować... zimne okłady. Potem kobiety odkryły lecznicze właściwości ziół: wywary koiły ból, działały uspokajająco, powodowały sen...

ŁAGODNA I GROŹNA

MIJAŁY WIEKI, a wraz z nimi przedłużało się życie ludzkie. W każdej bowiem epoce człowiek za swój największy skarb uważał swoje życie: cenił je i pragnął, aby trwało ono jak najdłużej. Dlatego też dzieje rodzaju ludzkiego są zarazem historią medycyny. W tej swojej walce o byt człowiek dochodził często do kapitalnych wniosków.

Jedną z tych okropnych chorób, przed którą nie znano ratunku, była ospa. Zdołano jednak zaobserwować, że ci ludzie, którzy przetrwali ospę, nigdy już na nią nie zapadali. Dlaczego?... Człowiek doszedł do logicznego wniosku, że choroba dzieli się na łagodną i groźną. Trzeba więc zapaść na ospę łagodną, aby uchronić się przed groźną. Jak to spowodować? Zaczęto po prostu nacinać na ramieniu zdrowych ludzi małe ranki, by wcierać w nie odrobinę ropy pobranej od człowieka zarażonego ospą. Człowiek chorował potem, ale nie umierał i już się nie zarażał tą chorobą. Metodę tę stosują i dzisiaj prymitywne plemiona, żyjące z dala od cywilizacji. Można więc powiedzieć, że już człowiek prymitywny zaczął stosować... szczepienia ochronne, by przetrwać chorobę.

NIEWIDZIALNY ŚWIAT

KAŻDA EPOKA przynosiła nowe odkrycia. W starożytnym Egipcie po raz pierwszy powołano publicznych lekarzy, którzy mieli dbać o czystość i zdrowie ludzi. Odkryto wtedy, że rany należy myć tylko wodą przegotowaną, a jeden z filozofów pisał: „Podczas suszy powstają w błotach drobne zwierzątka, tak drobne, że oko nie może ich dostrzec. Przedostają się one do organizmu przez nos i usta, i wywołują choroby, które trudno jest wyleczyć".

Była to genialna myśl, ale na jej potwierdzenie trzeba było czekać aż do czasów współczesnych, kiedy to w XVII wieku holenderski przyrodnik Antoni van Leeuwenhoek skonstruował mikroskop i dojrzał główne źródło chorób — niewidzialny świat bakterii.

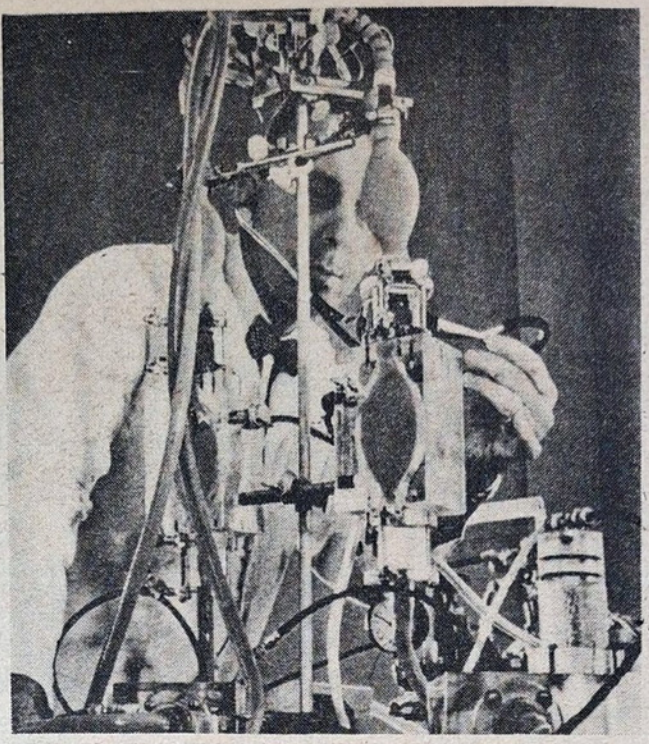

Dzięki tej skomplikowanej aparaturze można wypróbować w działaniu sztuczne serce.

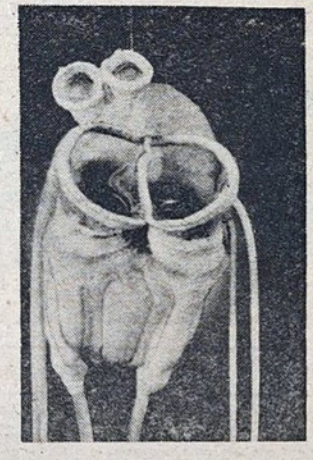

Serce z tworzywa sztucznego skonstruowane w klinice w Cleveland.

SZTUCZNE SERCE

DZIŚ, po wielu wiekach uciążliwej i dramatycznej walki lekarzy o życie człowieka, przeciętna jego wieku wzrosła, np. w Polsce, do 68 lat dla mężczyzn i 71 dla kobiet. Nie znaczy to oczywiście, że człowiek nie może osiągnąć stu lat, albo i więcej...

Czy tę przeciętną wieku współczesna medycyna jeszcze bardziej przedłuży? Z całą pewnością tak! Niedalekie są czasy, kiedy człowiek osiągnie 150 lat życia. Żeby tej granicy dożyć, trzeba przede wszystkim ulepszyć najważniejszy organ człowieka, bez którego nie ma życia — a mianowicie serce.

Statystyki wykazują, że największa liczba chorób współczesnego człowieka jest związana z sercem, bądź układem krążenia. Tak jest w Polsce — podobny stan istnieje też w innych krajach. Nic więc dziwnego, że świat medyczny szuka sposobu, aby zapobiec tym chorobom. Trzeba przyznać, że lekarze już w tej chwili osiągnęli duży postęp. Chirurdzy nie boją się przeprowadzać najbardziej skomplikowanych operacji na chorym sercu, potrafią zastąpić uszkodzone zastawki sercowe sztucznymi zastawkami, mogą nawet zmusić do działania serce, które przestało bić. Na przykład w Polsce żyje w tej chwili około 70 ludzi, którym wszczepiono pod skórę tzw. rozruszniki pracy serca. Są to miniaturowe aparaciki, których zadaniem jest pobudzać serce do pracy, kiedy przestaje ono bić.

Zachodzi jednak pytanie: czy chorego serca nie można zastąpić sercem z jakiegoś tworzywa sztucznego?

To pytanie zadałem kilku lekarzom-chirurgom i żaden z nich nie odpowiedział przecząco.

Japońscy lekarze już skonstruowali serce z tworzywa sztucznego — polythylenu. Składało się ono z dwóch komór, wprowadzanych w ruch rytmicznej pracy za pomocą niewielkiego motorka elektrycznego. Serce to ważyło 300 gramów i zostało wszczepione psu, który żył z nim przez siedem godzin. Siedem godzin to wprawdzie krótko, ale proszę pamiętać, że był to przecież dopiero eksperyment.

Dr Michał De Bakey z Uniwersytetu w Houston utrzymał przy życiu za pomocą sztucznego serca cielę, które żyło 32 godziny.

Sztuczne serce biło już też w piersi człowieka. Miało ono wielkość pomarańczy i ważyło 450 gramów. System energetyczny, który wprawiał w rytm to sztuczne serce — w kształcie małego aparatu elektrycznego — znajdował się na zewnątrz. Pacient żył z tym sercem przez kilka dni. Wierzyć się nie chce, a jednak to prawda.

SZOKUJĄCE ZAGADNIENIE

WSZELKIE NOWOŚCI w medycynie wywołują zawsze szaloną dyskusję. Tak było wówczas, kiedy słynny lekarz węgierski Semmelweis zarządził w swoim szpitalu, aby lekarze, przystępując do badania chorego, umyli ręce. Tym zarządzeniem słynny lekarz wywołał burzę... wśród samych lekarzy. Podobnie jest również ze... sztucznym sercem. Są głosy, że serca ludzkie należy zostawić w spokoju, mają pozostać takie, jakie są. Bo jak się będzie czuć człowiek ze sztucznym sercem? Rzeczywiście, pytanie dziś jeszcze szokujące.

Cóż — osiągnięcia współczesnej nauki wprawiają w zdumienie świat. Nawet największy fantasta staje dziś bezradny wobec osiągnięć techniki. Nauka prześciga po prostu fantazję człowieka.

Dlatego wierzę, że będziemy żyć 150 lat.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Jeden z problemów współczesnej medycyny, to opanowanie wiedzy o hormonach, które między innymi wpływają na wzrost człowieka.

PRZECZYTAJ!

„OD CZARÓW DO MEDYCYNY WSPÓŁCZESNEJ" — autorzy: S. Leff oraz V. Leff.

Książkę tę wydały Państwowe Zakłady Wydawnictw Lekarskich. Cena książki jest dosyć wysoka, wynosi 30 zł. Warto jednak mieć tę pozycję w swojej bibliotece, zawiera ona bowiem wiele nieznanych faktów z historii medycyny, opowiada o słynnych lekarzach, o zwalczaniu chorób zakaźnych itp. Napisana bardzo prosto, w sposób wręcz sensacyjny, jest pasjonującą lekturą.

A. WIELGOŁAWSKA

Mistrzowie od ognia i wybuchów

PIROTECHNICY, podobnie jak saperzy, myla się tylko raz. Oni także w codziennej pracy ryzykują własnym życiem. Stale mają do czynienia z trotylem, dynamitem, prochem i wieloma innymi równie niebezpiecznymi materiałami wybuchowymi i łatwopalnymi. W łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych dysponują oni całym arsenałem broni — począwszy od XVIII-wiecznych pistoletów skałkowych aż do współczesnych karabinów maszynowych, armat, samochodów pancernych i czołgów.

Siedmioosobowa brygada pirotechników WFF w Łodzi jest jedynym w kraju zespołem fachowców, specjalizujących się w wywoływaniu najrozmaitszych eksplozji, wybuchów, bombardowań, pożarów i innych żywiołowych kataklizmów dla potrzeb filmu. Ich osiągnięcia krajowe znalazły nawet uznanie za granicą, gdyż z naszymi specjalistami chętnie współpracują inne kinematografie, jak np. NRD, a światowej sławy hollywodzki pirotechnik Mac Donald, zatrudniony przy kręceniu zdjęć do amerykańskiego

filmu „Noc generałów", podczas pobytu swojej ekipy w Polsce korzystał z pomocy wszystkich siedmiu naszych pirotechników, którzy współpracowali przy tym filmie.

Westerplatte w ogniu

DO FILMÓW POLSKICH najbardziej dotychczas pirotechnicznych należy świeżo ukończony film „Westerplatte". Przy nim przez wiele miesięcy pracowali właśnie łódzcy mistrzowie od ognia i wybuchów. Podczas produkcji tego filmu zużyto ponad 1,5 tony materiałów wybuchowych oraz setki litrów benzyny, ropy naftowej, tysiące sztuk świec dymnych i różnego rodzaju broni. Głównym rekwizytem „grającym" bez przerwy na planie był oryginalny ciężki karabin maszynowy, czyli ckm, kal. 7,92, rok produkcji 1930. Ten to karabin, uczestnik autentycznej bitwy o Westerplatte w 1939 r., od czasów wyzwolenia znajdował się w magazynach wytwórni. I właśnie teraz przyszło mu jeszcze raz odegrać swą sławną rolę.

Trudność jednak leżała w tym, że karabin od czasów wojny nie był w użytku i po prostu nie działał. A cóż wart jest najbardziej autentyczny rekwizyt w bojowym filmie, jeśli nie może strzelać?

O perypetiach z karabinem i o innych trudnościach opowiada nam kierownik działu inscenizacji WFF, Ryszard Walkowski.

— Podczas walk o Westerplatte w 1939 r. pozycje nasze posiadały tylko dwa ckm-y. Właśnie jeden z nich znalazł się w naszych magazynach. Jednak żadna ekipa specjalistów nie mogła uporać się z odrestaurowaniem ckm-u, a także z przystosowaniem go do dzisiejszych warunków i wymogów czysto filmowych (jak np. metalowe zapalniki imitujące pociski i wiele innych). Wreszcie podjęły się tej pracy Wojskowe Zakłady Remontowe.

Niejednokrotnie przychodziły ponure wieści, że z karabinu nic już nie będzie. Ale wszystko skończyło się pomyślnie. Ckm został wyremontowany i strzelał na ekranie, jak wtedy przed laty. Tyle, że jego pociski nie były groźne.

— Co poza tym należało do najtrudniejszych przedsięwzięć? — zastanawia się szef pirotechników. — Niewątpliwie wszelkie wybuchy na pełnym morzu, takich ujęć w „Westerplatte" jest wiele. Otóż imitowaliśmy je w ten sposób: do niewielkich łódek ładowano dynamit, który eksplodował po uruchomieniu zapalnika połączonego kablem elektrycznym ze stanowiskiem pirotechnika.

Jednak fale morskie zalewały małe łódki, miotały nimi na różne strony, oddalały je od zaplanowanego miejsca wybuchu. Trzeba było obciążać ładunki dodatkowo, wybuchy nie zawsze się udawały. Ujęcia powtarzaliśmy wielokrotnie, walcząc z falą morską, a niekiedy nawet i ze sztormem.

Do najbardziej jednak niebezpiecznych momentów w tym filmie należała pierwsza scena: rozpoczynająca bój o Westerplatte. Oto ona: do muru podchodzi człowiek. Nagle następuje pierwszy wybuch zwiastujący wojnę. Mur wylatuje w powietrze, człowiek pada.

— To ujęcie było niezwykle niebezpieczne ze względu na aktora — wspomina dalej Ryszard Walkowski. — Aktor znajdował się na pierwszym planie. Tuż za nim mur, naładowany dynamitem. Każde niedopatrzenie, spóźnienie o ułamek sekundy wybuchu, czy też złe wyliczenie, mogłoby śmiertelnie ranić aktora, znajdującego się przecież w pobliżu muru. Miał on co prawda pod ubraniem ołowiana „kamizelkę", ale zawsze zachodziła obawa, że odłamki rozpadającego się muru mogą go dosięgnąć.

„Żołnierz zwycięstwa", „Godziny nadziei" i inne

MISTRZEM wśród łódzkich pirotechników jest Henryk Piotrowski. W swoim zawodzie pracuje już 19 lat i przeżył niejedną niebezpieczną sytuację. Zresztą oddajmy mu głos:

— Moim pierwszym filmem, gdzie trzeba było stosować efekty pirotechniczne, było „Miasto nieujarzmione", z Kurnakowiczem w roli głównej. Wtedy strzelało się jeszcze ostrymi nabojami i niebezpieczeństwo zranienia aktora było duże. Teraz do karabinów i pistoletów używa się naboi plastykowych, dokładnie skopiowanych według oryginalnych wzorów. Dla pokazania na ekranie momentu trafienia bohatera, używa się niewielkich ładunków umieszczonych na płycie pancernej ukrytej pod ubraniem aktora. Ładunki wybuchają w odpowiedniej chwili zapalane impulsem elektrycznym. Tym sposobem np. uzyskaliśmy dobre efekty w filmie „Popiół i diament" w słynnej scenie śmierci Maćka Chełmickiego (Zb. Cybulski).

— Czy dużo miałem tragicznych sytuacji w swej pracy? Na szczęście nie zdarzyła mi się nigdy żadna katastrofa czy wypadek, choć nie ominęły one moich kolegów z ekipy. Jeden z nich nawet po dotkliwym poparzeniu wycofał się ze swej pracy. Miałem natomiast wiele momentów bardzo trudnych a tym samym niebezpiecznych.

Ot, choćby podczas filmowania „Żołnierza zwycięstwa" gdzie co chwila imitowałem wybuchy. Za każdym razem pole wybuchów sprawdzałem przed następnym ujęciem. Wszystko było w porządku, tak że reżyser chciał nawet kręcić bez tych oględzin. Ale ja wolę dziesięć razy sprawdzić, niż raz się pomylić. No i za którymś tam razem zobaczyłem, że tuż obok dynamitu, który ma za chwilę eksplodować... siedzi sobie najspokojniej żołnierz i ściąga buty. Zdrętwiałem z wrażenia. A przecież, gdybym nie sprawdził ładunków na polu...

Inna niebezpieczna sytuacja była przy kręceniu zdjęć do filmu „Dziś w nocy umrze miasto" (z B. Tyszkiewicz i A. Łapickim). Ten film należał do bardzo trudnych, jeśli chodzi o efekty pirotechniczne. Trzeba było pokazać walące się w gruzy i płonące miasto, wraz z aktorami w środku tego piekła.

Olbrzymi wentylator, tzw. „propeler" robił na planie wiatr, my rzucaliśmy całe stosy zapalonych pakuł nasyconych benzyną, naftą i olejem. Pęki ognia fruwały w powietrzu. Dochodziły do tego wybuchy bomb, strzały maszynowe i inne efekty. W rezultacie jedna z palących się pochodni upadła wprost na aktorkę Danutę Szaflarską. Tylko przytomność umysłu uratowała ją od wypadku.

Wiele pracy kosztowały nas takie filmy jak: „Kanał", „Zamach", „Lotna", „Krzyżacy", „Popioły", „Potem nastąpi cisza", „Skąpani w ogniu" „Zerwany most" (odpowiedzialny pirotechnik w obu ostatnich filmach Stanisław Wlaźlik) na i ostatnio dla telewizji „Czterej pancerni i pies" (odpowiedzialny pirotechnik Mieczysław Garwacki).

Pan Wołodyjowski i kapitan Kloss

DZIEJE obu tych bohaterów czekają już w łódzkiej wytwórni na ufilmowienie. Czekają także pirotechnicy. Zdjęcia plenerowe (atelierowe są już w toku) do „Stawki większej niż życie" mają się odbyć pod Olsztynem w początkach lipca. Niejedna strzelanina będzie udziałem naszych mistrzów od wszelkich batalii i wojennych potyczek.

Na rozpoczęcie zdjęć do filmu „Pan Wołodyjowski" czeka się w Łodzi z niecierpliwością. Jak zapowiadają pirotechnicy, będzie tu moc pożarów i dynamitu (palący się Raszków, wysadzenie Kamieńca). Niepoślednią rolę odegrają też armaty i proch. Pracy więc czeka ekipę dużo.

Wiedzcie więc o tym, patrząc na każdy batalistyczny film, że aby on powstał tak efektownie i prawdziwie, przyczynili się do tego także i ci nieznani bohaterowie, często stojący w cieniu reżysera i aktorów — to nasi pirotechnicy.

Jak s

KOLARZ sto razy umiera na trasie, nim zwycięży! — mówi sportowe przysłowie. Jest to okrutne powiedzenie, ale w pełni oddaje sens niezwykle trudnej walki, jaką toczą kolarze o zwycięstwo. Pomyślcie, czternaście dni na siodełku! Dzień w dzień etap! Ponad 2000 kilometrów do przejechania i to w tempie pociągu pośpiesznego, a na niektórych odcinkach w tempie ekspressu. Nogi mdleją, odmawiają posłuszeństwa, ale nawet na chwilę nie można zwolnić, bo inni się zorientują, przypuszczą atak, uciekną. Kolarze zaciskają zęby i naciskają na pedały.

A więc pierwsza odpowiedź na postawione pytanie brzmi: WALCZY SIĘ Z NIEZWYKŁYM HARTEM, Z OGROMNĄ WOLĄ ZWYCIĘSTWA! Przykładów nie szukajmy daleko. Na VI etapie Gawliczek miał kraksę. Wywrócił się, dotkliwie potłukł. A jednak wsiadł na rower i jechał dalej. Okropnie bolała go ręka, odczuwał każde drgnięcie kierownicy, każdą kostkę bruku pod kołem. Ręka puchła. Dojechać, musi dojechać do mety, za wszelką cenę. Dopiero tam lekarz sprawdzi, co się stało z ręką, zaopatrzy, obandażuje, jutro zresztą dzień przerwy, a więc mnóstwo czasu, będzie dobrze i we wtorek wystartuje do dalszej walki!

Gawliczek jednak nie wystartuje. Złamał rękę! Dowiedział się o tym dopiero na mecie, kiedy prześwietlono mu rękę. Jechał kilkadziesiąt kilometrów ze złamaną ręką.

Czy nie wiedział, co mu się stało? Przecież ręka musiała go piekielnie boleć! Przypuszczał, chyba nawet wiedział z całą pewnością, ale odsuwał od siebie tę myśl, łudził się, że może będzie inaczej. Nie rezygnował z walki! Ileż wysiłku musiało go to kosztować? Oto wspaniały przykład hartu!

Ale powróćmy do postawionego w tytule pytania. Jak się walczy o koszulki liderów? Kiedy się atakuje, ucieka, kiedy goni? Jaką taktykę jazdy stosuje? I co jest najgroźniejszym wrogiem kolarza?

KRAKSA

TAK, KRAKSA jest bezwątpienia największym wrogiem kolarza. To jest los, to jest wypadek i już kolarz wali się na szosę. Skaleczenia, złamania, koniec! Nawet najlepszy kolarz może ulec wypadkowi. Tak było na I etapie dookoła Warszawy z Pietrowem, tak było z Gawliczkiem, tak było na finiszu VI etapu w Szczecinie, kiedy Niemiec Ebert z Berlina zachodniego wywrócił się i podciął atakującego go Smolika Runęli obaj, a cały peleton wyprzedził ich!

Panuje jednak wśród kolarzy opinia, że dobry kolarz potrafi uniknąć kraksy, jeśli cały czas będzie miał skoncentrowaną uwagę, jeśli będzie miał szybki refleks i nie ulegnie zmęczeniu. KOLARZ MUSI WIĘC RÓWNIEŻ WALCZYĆ CZUJNIE, MIEĆ NA OKU WSZYSTKO, CO SIĘ DZIEJE WOKÓŁ NIEGO.

Istotnie zawodnik, który jest świeży, uważnie prowadzi rower, kontroluje wzrokiem szosę, czy nie ma na niej kamieni, dziur, czy nie jest posypana piaskiem. To wszystko bowiem stanowi czyhające na niego zasadzki. Wypatruje więc kolarz oczy, prowadzi rower jak po sznureczku, żeby koła szły jednym śladem, bo wtedy zmniejsza możliwości wypadku czy przebicia dętki. Ale nie wystarczy samemu dobrze prowadzić rower. Trzeba uważać na tych, co jadą koło ciebie. Dobry kolarz wyczuje, że jadący obok kręci coraz wolniej, przewala się z boku na bok, kołysze rowerem. Niebezpieczeństwo grozi mu więc od tej strony, że tamten zwali się i pociągnie go za sobą. Uciekać od takiego najdalej!

UCIECZKA

TU WCHODZI w rachubę kalkulacja sił. *„Czuję się doskonale, jest jeszcze do mety 50 kilometrów. Zaatakuję teraz, pójdzie za mną kilku innych i uciekniemy. Sił powinno starczyć do mety!"*

Zaczyna się ucieczka, nasz kolarz wyskakuje z peletonu, przyśpiesza, kręci jak oszalały, za nim skacze drugi, trzeci, czwarty. Tworzą wachlarzyk, dają sobie mocne zmiany i odrywają się w oczach od peletonu. Tamci, którzy zostali, myślą: *„Niech ruszą, sił im i tak nie starczy na 50 kilometrów samotnej jazdy. Dogonimy ich przed metą, miniemy, oni odpadną z walki, bo będą załamani, żeśmy ich dogonili, no i po takiej ucieczce nie będą mieli sił!"*

Przedstawiłem sposób myślenia tych, co uciekają, i tych, co pozwalają uciekać. Jest w tym rozumowaniu gra: wyjdzie — nie wyjdzie? Ten, kto chciałby gonić za każdą ucieczką, po prostu nie dojechałby do mety. Bo w ciągu jednego stukilometrowego etapu bywa i dwadzieścia prób ucieczek!

Cała umiejętność ucieczki to wyczucie słabej chwili przeciwnika. Z reguły najlepiej udają się ucieczki, po zlikwidowaniu ucieczki! Peleton dochodzi uciekinierów, wchłania ich, zwalnia tempo, kolarze odpoczywają po akcji. I wtedy wyskakuje ktoś inny, zaczyna się następna ucieczka!

KOLARZ MUSI WIĘC UMIEĆ WALCZYĆ MĄDRZE I MIEĆ GŁOWĘ NA KARKU.

TAKTYKA

PO TYCH niejako wstępnych informacjach możemy przejść do najważniejszego zagadnienia, do taktyki walki na trasie. Wiemy już, że kolarz musi być zahartowany, czujny, mądry. KOLARZ MUSI MIEĆ JESZCZE PLAN WALKI. Ten plan to właśnie taktyka.

W drużynie jedzie sześciu zawodników. W wyścigu mamy dwie klasyfikacje — indywidualna oraz drużynowa. Wydawałoby się pozornie, że klasyfikacja indywidualna nie stoi w sprzeczności z drużynową. Wystarczy dobrze jechać, robić — jak to się mówi po kolarsku — czas dla siebie i swojej drużyny. Tak jednak nie jest. Jest po prostu niemożliwością połączyć walkę o żółtą koszulkę lidera indywidualnego oraz niebieskie koszulki liderów drużynowych.

Kolarz, który zdobył żółtą koszulkę, pilnuje swojej pozycji. Uważa przede wszystkim na tych zawodników, którzy są jego rywalami w klasyfikacji indywidualnej i mają do niego stratę kilkunastu sekund czy co najwyżej minutę — dwie. Oni są najgroźniejsi. Lider musi też oszczędzać siły właśnie po to, aby, gdy tamci ruszą do ataku, odeprzeć ich natarcie, zlikwidować ucieczkę, rywali albo błyskawicznie doszlusować do nich. Nie interesują go natomiast ucieczki, w których znajduje się nawet trzech kolarzy z jednej drużyny, pod warunkiem, że zajmują oni dalekie miejsca w klasyfikacji indywidualnej. Są bowiem wtedy niegroźni dla lidera. Niech sobie jadą!

Walka o niebieskie koszulki zakłada inny sposób rozgrywania wyścigu. Tu walczy aż sześciu zawodników, a na każdym etapie liczy się czas pierwszych trzech na mecie. Można więc sobie pozwolić na ekonomiczną jazdę i odpowiednio zestawić drużynę. W jej składzie trzeba mieć specjalistów od krótkich sprinterskich etapów, specjalistów od jazdy drużynowej na czas, specjalistów od długich etapów-maratonów oraz wreszcie specjalistów od jazdy w górach. W zależności od tego, jaki jest etap, „deleguje" się niemal do walki poszczególnych kolarzy. Walką kieruje wówczas trener. Przed etapem wspólnie z kolarzami dokonuje analizy trasy, omawia sytuację, wydaje decyzje. Potem w czasie walki na trasie kieruje zespołem, pilnuje, by ustalone założenia były realizowane w zależności od sytuacji, zmienia plan i wydaje nowe polecenia.

Posłużę się przykładem z innego wyścigu — Bałtyckiego Wyścigu Przyjaźni, który obserwowałem w zeszłym roku. Na jednym z etapów trzech kolarzy polskich oraz trzech litewskich

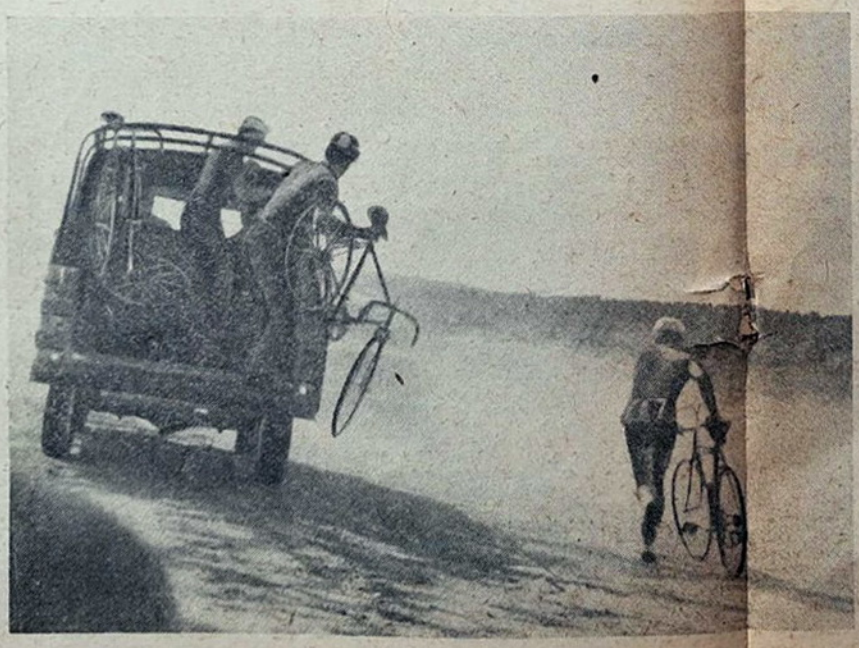

się walczy o koszulkę lidera?

NAPISAŁ TADEUSZ OLSZAŃSKI

zainicjowało ucieczkę. Szybko zdobyli 5 minut przewagi. Nagle jeden z Polaków złapał defekt. Trener, który jechał w samochodzie, natychmiast wydał polecenie: zostać i pomóc dojść! Dwaj zawodnicy, którzy mogli walczyć dalej, zsiedli z rowerów. Pawłowski zajmował wysoką lokatę w klasyfikacji indywidualnej i ścigał się o pierwszeństwo z Litwinem Grabauskasem. Został z tyłu, choć jego rywal rwał do przodu, co sił, korzystając z okazji, że Polak wyłączył się z walki. Drugim, który został, był Czechowski, ten sam, który dziś jedzie w Jubileuszowym Wyścigu Pokoju. Udzielili pomocy koledze i w trójkę ruszyli w pościg za Litwinami. Stało się tak dlatego, bo gdyby odpadł jeden z naszych, to przegrywaliśmy drużynowo etap o pięć minut z Litwinami i mogło to mieć decydujące znaczenie w końcowej klasyfikacji. Trzeba było ryzykować i ewentualnie nawet stracić dobrą lokatę Pawłowskiego w klasyfikacji indywidualnej. Na szczęście Polacy dogonili Litwinów.

Wyraźnie z tego wynika, że klasyfikacja indywidualna stoi w sprzeczności z drużynową.

CZYJ INTERES WAŻNIEJSZY

TO NAJWIĘKSZY PROBLEM: indywidualność czy drużyna? Smolik po zwycięstwie w I etapie dookoła Warszawy na drugi dzień stracił żółtą koszulkę, bo następny etap do Poznania wygrał Doehne. Gdy Niemiec uciekł, Smolik rzucił się za nim w pogoń, ale jego koledzy Doleżal i inni nie udzielili mu pomocy. Sam nie mógł dogonić Niemca i oddał żółty trykot. Wieczorem kolarze czechosłowaccy mieli między sobą ostrą wymianę zdań. Smolik miał pretensje, że nie udzielono mu pomocy, koledzy mówili, że musieli pilnować innych kolarzy, a zwłaszcza Rosjan i Polaków, z którymi walczą o zwycięstwo drużynowe.

I dlatego zespół musi wiedzieć, o co walczy. Gdy ustala się, że gra pójdzie o żółtą koszulkę, wówczas interes pięciu zawodników zostaje podporządkowany interesowi jednego kolarza. Jemu się pomaga, jego się chroni, jego się podciąga. A lider dzieli się w zamian z kolegami nagrodami, które zdobywa. Gdy natomiast walczy się o niebieskie koszulki, wówczas, nawet druga czy trzecia lokata w klasyfikacji indywidualnej nie jest ważna wobec interesu drużyny.

Bywa i tak, że przez dwa dni pozwala się na trudnych etapach odpoczywać dwóm-trzem kolarzom, a pracują na czas dla drużyny pozostali. Tamci przychodzą na końcu, spadają w klasyfikacji indywidualnej na sam dół. Potem przychodzi etap, na którym tę trójkę rzuca się do ataku. Nikt nie zwraca na nich uwagi, bo przecież przez dwa dni w ogóle nie atakowali. Rywale pilnują pozostałej trójki, która „błyszczała" i była aktywna. Gdy tamci uciekli, ta pozostała trójka, która po dwóch dniach świetnej jazdy przoduje w klasyfikacji indywidualnej, wysuwa się na czoło i swoim kosztem zwalnia pogoń! Poświęca swój interes dla interesu drużyny!

KTO ZWYCIĘŻY?

POLSKI ZWIĄZEK KOLARSKI ustalając skład naszej drużyny na XX Jubileuszowy Wyścig Pokoju dobrał zespół w ten sposób, aby walczył o niebieskie koszulki. Z tego względu już na samym początku przygotowań zrezygnowano z Kudry, który jest kolarzem o wybitnej indywidualności, z tego względu nie wszedł do drużyny młody i świetny zawodnik Woźniak (pisaliśmy o nim tydzień temu), gdyż reprezentuje typ zawodnika, który walczy o swoje korzyści. Znaleźli się więc w drużynie zawodnicy o różnych specjalnościach, ale o jednym typie — wszystko dla drużyny! Ale nie tylko my zestawiliśmy w ten sposób drużynę. Podobnie postąpili kolarze NRD oraz ZSRR. I walka o zwycięstwo drużynowe rozstrzygnie się między tą trójką.

Kolarze Belgii, Francji, Holandii stawiają natomiast indywidualny sukces wyżej niż zwycięstwo drużynowe. W znakomitej formie jest Smolik. Między nim, a kolarzami z zachodnich krajów rozstrzygnie się walka o pierwszeństwo. Ale Smolik przegra, jeśli koledzy i cała jego drużyna nie udzielą mu pomocy.

Nasuwa się wam, drodzy czytelnicy, zapewne pytanie, czy nie można połączyć walki o żółtą i niebieskie koszulki? Na pewno można. Jest to jednak niezwykle trudne zadanie wymagające ogromnej kondycji, znakomitej formy całej drużyny i jeszcze superformy jej asa. W historii Wyścigu Pokoju były takie wypadki. Kiedyś przodowali kolarze NRD i mieli w swym składzie jeszcze takiego asa nad asy, jak dwukrotnego zwycięzcę Wyścigu Pokoju i mistrza świata Taeve Schura. Potem przyszedł złoty okres drużyny radzieckiej, w której przodowali Pietrow i Sajdhużin. W miarę jednak, jak rosło znaczenie imprezy, podnosił się jej poziom i walka w obu klasyfikacjach stała się dla jednego zespołu niemożliwa. Tak było rok temu, kiedy indywidualnie wygrał Francuz Bernard Guyot, a drużynowo zespół ZSRR wyprzedził Polskę o 6 sekund! A jak będzie w tym roku? Zobaczymy. Na to pytanie nikt w tej chwili nie może dać stuprocentowej pewnej odpowiedzi.

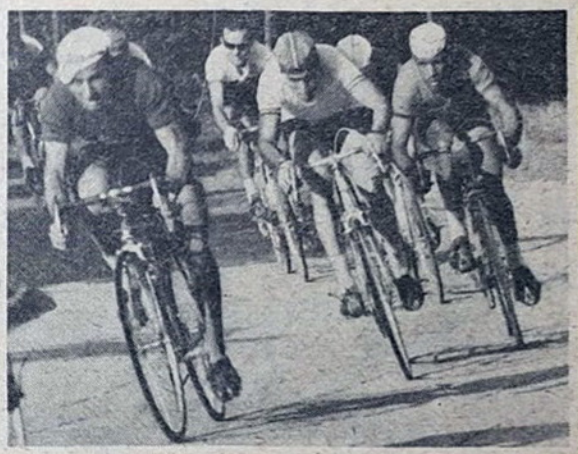

Zdjęcia: Leszek Łożyński

Kiedy sędzia gwiżdże?... (6)

ZAKAZANA „PODPÓRKA"

KORZYSTAJĄC z dogodnej sytuacji, w której sędzia znajdował się za plecami dwóch walczących o górną piłkę przeciwników, „biały" oparł się ręką o bark zawodnika drużyny przeciwnej i dzięki temu łatwiej dosięgnął piłki głową. Z daleka jego zagranie wyglądało bardzo efektownie, część widzów zaczęła nawet oklaskiwać wspaniały wyskok swego pupila.

Uwadze sędziego nie uszedł jednak sposób, w jaki „biały" dokonał swego wyczynu. Nie widząc nawet ręki, opierającej na przeciwniku, stwierdził, że zawodnik w pasiastej koszulce nie tylko wyskoczył do górnej piłki, ale jeszcze ugiął się pod ciężarem „białego". Bez wahania gwizdnął i zasądził rzut wolny bezpośredni przeciw drużynie „białego".

Postąpił bardzo słusznie, ponieważ w meczu piłkarskim można używać rąk tylko jednemu z 11 zawodników drużyny, a mianowicie bramkarzowi. Graczom z pola nie wolno pomagać sobie ręką w walce o piłkę.

Halo
co słychać?

U pionierów za TATR

O DAWNA łączy nas z redakcją „Pionyrske Noviny" serdeczna przyjaźń. Niejeden już raz podejmowaliśmy wspólne akcje dla swoich czytelników, wymienialiśmy strony gazet, artykuły i fotoreportaże. Bo wiemy, że jesteście ciekawi, co słychać u kolegów z kraju leżącego tuż „za miedzą" — za Tatrami. Równie ciekawi są czechosłowaccy pionierzy, co słychać w naszych drużynach harcerskich, jakimi specjalnościami zajmują się harcerze, jakie podejmują akcje i co najlepiej lubią robić na zbiórkach. Niełatwo jest zaspokoić obopólną ciekawość.

Od kilku dni przebywa w gościnie u „Świata Młodych" redaktor bratniej gazety — „Pionyrskych Novin" — JIRZINA HLADKOWA. Gość nasz odwiedzi drużyny harcerskie i zastępy, by móc potem opowiedzieć o nich pionierom.

A dziś JIRZINA opowie Wam, co słychać u czechosłowackich kolegów.

Od wiosny do późnej jesieni drużyny wodne urządzają spływy po czechosłowackich rzekach. Co roku gośćmi rzek są dziewczęta i chłopcy „Domów Pioniera" z Pilzna, Chebu i Brna. To już prawdziwe „wilki rzeczne".

Miłośnicy rybołówstwa to też zapaleni wodniacy. „Kółko rybaków" w Decine ma już długoletnią historię. Mogą się pochwalić nie tylko złowieniem wspaniałych okazów ryb, ale zaimponować wytrawnym i doświadczonym rybakom wiadomościami o życiu i zwyczajach mieszkańców rzek.

Vranowice, miejscowość położona na południe od drugiego największego miasta Czechosłowacji — Brna, słynie z entuzjastów kolarstwa. Niejeden chłopak marzy tu o sławie Veselego, Ružiczki, Smolika. Pierwsze ostrogi zdobywają w drużynie kolarskiej, która istnieje już 12 lat, i wychowała ponad setkę miłośników tego pięknego sportu. Każdego roku w wakacje chłopcy siadają na rowery i ruszają na wędrówkę po kraju. Stało się to już tradycją młodych vranowiczan. Ostatnio odbyło się spotkanie wszystkich wychowanków drużyny kolarskiej. Przyjechali na ten uroczysty zjazd z całej Czechosłowacji. Dwa dni upłynęło na wspomnieniach z letnich wypraw, opowieściach, o przeżytych przygodach i... mocnym postanowieniu, że piękne tradycje drużyny będą nadal kontynuowane.

W Radotine koło Pragi nad rzeką Wełtawą rozbija co roku swe namioty obóz dla dzieci, które nie wyjeżdżają na wakacje ze stolicy. Dziewczęta i chłopcy spędzają tutaj cały dzień, tylko na noc wracają do domów.

Przed kilku laty redakcje pism młodzieżowych w Czechosłowacji zainicjowały ciekawą akcję. Każda redakcja zobowiązała się kierować różnymi grupami specjalistów lub klubami. „Pionyrske Noviny" mają pod swoją opieką „Kluby Prawdziwych Przyjaciół". Redakcja „ABC młodych techników i przyrodników" kieruje pracą „załóg rakietowych", „klubów dziewcząt", „miłośników przyrody". Pismo „Pionyr" przewodzi natomiast kółkom turystycznym. Tak więc każdy hobbysta w Czechosłowacji ma swego opiekuna. Kilka razy w roku odbywają się spotkania tych wszystkich grupek dziewcząt i chłopców. Hobbyści wędrują pieszo, rowerami, pociągami, autostopem... Na obozach współzawodnicza ze sobą w strzelaniu z łuków, rozbijaniu namiotów, gotowaniu.

Nad rzeką Nison leży niewielka wioska Lucany. Ktokolwiek przyjedzie do Lucan, zwraca uwagę na pokaźnych rozmiarów domek, umieszczony w konarach wysokiego drzewa. Ten dziwny domek na drzewie to miejsce zbiórek i narad „Dzikich Orłów", chłopców z „Klubu Prawdziwych Przyjaciół".

Przed czterema laty było ich trzech. Pod kierunkiem dziadka, byłego żołnierza, zabawiali się w podchody, ćwiczyli strzelanie z łuku, rozbijanie namiotu. Kiedy redakcja „Pionyrskich Novin" zaczęła tworzyć i opiekować się „Klubami Prawdziwych Przyjaciół", przyłączyły się do nich i „Orły".

Teraz jest ich ośmiu. „Orle Gniazdo" jest w dalszym ciągu miejscem ich spotkań. W czasie wakacji chłopcy z Lucan zamierzają pomalować na nowo znaki na trasach turystycznych w Górach Jezierskich.

Halo, co słychać?

Ping—pongiści w harcerskich mundurkach

Rozgrywki ćwierćfinałowe o puchar Komendy Hufca

HALA GIMNASTYCZNA Szkoły Podstawowej nr 1 w Radomiu pełna życia. Część centralną okupują koszykarki — ćwiczą rzuty, rozgrywają mecz. Prym tu wodzi uczennica klasy VII d, Basia Zychlińska.

Tymczasem w prawym skrzydle sali odbywają się rozgrywki tenisa stołowego.

Grających oblega tłum widzów. Nic dziwnego, przecież ta sala jest jednym z punktów, gdzie odbywają się rozgrywki turniejowe. Przybyli więc zawodnicy i entuzjaści również z innych szkół i drużyn harcerskich.

Tenis stołowy jest jednym z ulubionych sportów radomskich harcerzy. Dlatego turniej cieszy się tak dużym powodzeniem. Do grupy młodszej zgłosiło się aż 26 zespołów dwuosobowych. Niektóre drużyny wystawiły tylko po jednym zespole, ale były i takie, co wystawiły po trzy, cztery.

Zespoły walczyły o Puchar Przechodni Komendy Hufca. Gra odbywa się więc systemem pucharowym. Oglądam rozgrywki ćwierćfinałowe. Zespół ze Szkoły nr 1 gra z zespołem 7 DH przy Szkole Podstawowej nr 7. Najpierw gra po 3 sety każdy z każdym, później grają tzw. debla. Decyduje ogólna suma punktów. Wygrywają A. Czarniawski i J. Olszewski z 7 DH. Zwyciężają w półfinale i finale, są najlepsi. A drugie i trzecie miejsce zajmują dwa inne zespoły z tejże 7 DH przy Szkole Podstawowej nr 7.

Szesnaście starszych zespołów gra o Puchar Przechodni ufundowany przez Kielecki Okręg Związku Tenisa Stołowego. Tutaj najlepszą dwójką pingpongową okazali się K. Mazurkiewicz i J. Woźniak z 45 DH przy Technikum Samochodowym. Pierwsze zespoły otrzymały puchary, drugie i trzecie — dyplomy, a pozostałe — upominki.

Miejski Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki ufundował nagrody w postaci książek i kompletów pingpongowych.

Turniej się zakończył, ale rakietki pingpongowe nie poszły do kąta. Już bowiem Komenda Hufca i Związek Tenisa Stołowego zapowiedziały następny turniej na m-c maj. Zespoły, które zdobędą puchary po raz drugi, zatrzymają je na zawsze. Jest więc o co walczyć.

STEFAN KOJŁO
Zdjęcie autora

Jeśli zabytek jest godny pióra, opisz go w liście — nie pisz na murach.

KLUB NASTOLATKÓW

Dobrze o nas mówią

● Niedawno przeczytałam w „Klubie" kilka listów, których autorzy są dumni z Polski, z jej osiągnięć. Ja także jestem dumna z naszego kraju, z Polaków, którzy w 1939 r. stanęli do nierównej walki z wrogiem.

Polska — to kraj, który od wielu wieków jest opiewany przez poetów różnych narodowości. W wielu miejscach na świecie rozsiane są mogiły polskich żołnierzy, którzy zginęli w walce: „za wolność naszą i waszą".

Rok temu byłam w Rumunii. Poznałam tam pewnego Rumuna, który w czasie wojny walczył razem z Polakami i Rosjanami o wyzwolenie Warszawy.

Pewnego razu spotkał mnie w towarzystwie kolegi i zapytał, czy to jest mój brat. Gdy odpowiedziałam mu, że nie, powiedział: „Jak to nie, przecież wszyscy Polacy są braćmi".

Słowa te do dziś pozostały mi w pamięci. Przekonałam się, że ten, kto przynajmniej raz poznał prawdziwego Polaka, od razu polubił jego i jego ojczyznę. (rj)

„NASTOLATKA ZE ŚLĄSKA"

Wędrujemy przez nasz kraj

● Myślę, że najważniejszą rzeczą jest poznać swój kraj. Bo Polska jest przecież taka piękna. Trzeba poznać ją od wschodu do zachodu, od południa do północy.

I to jest moje najskrytsze marzenie. Cała nasza klasa z wychowawczynią na czele, wzięła to sobie za cel. Jesteśmy już w ósmej klasie i lata spędzone razem nie poszły na marne. Każdy z nas ma brązową Górską Odznakę Turystyczną.

Nalaziliśmy się po Beskidach, Pieninach, Bieszczadach. Podziwialiśmy wiele zabytków kultury polskiej. Wielu z nas było nad morzem. To już jest coś. Ale jeszcze wielu obszarów Polski nie dotknęła nasza noga. Mamy jednak dopiero 15 lat.

Wielu ludzi wychwala Adriatyk i inne, obce morza, a mało kto z nich zanurzył się w falach naszego Bałtyku.

Myślę, że wtedy można powiedzieć o tym, jak bardzo się kocha Polskę, kiedy się ją naprawdę poznało. (rj).

„IRENA"

Nie tylko sklepik

SZKOŁA PODSTAWOWA w kaszubskiej wsi Chwaszczyno, w powiecie wejherowskim, nie jest tak okazała jak zbudowane po niej „tysiąclatki", ale działalność społeczna młodzieży jest tu bardzo owocna.

Weźmy choćby taką spółdzielnię uczniowską, która istnieje już 8 lat. Z ładnie prowadzonej kroniki można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Najlepszą jednak, żywą, kronikę tworzą członkowie spółdzielni, zwłaszcza że wielu należy do niej od chwili jej założenia. Tak jak między innymi przewodnicząca Zarządu Spółdzielni, uczennica VIII klasy, Renia Baranowska. Właśnie od niej dowiedziałem się, że działalność spółdzielni nie ogranicza się tylko do szkolnego sklepiku, który ma 70 tysięcy złotych obrotu rocznie, ale pracują tu także różne zespoły zainteresowań.

Dwanaście dziewcząt tworzy np. zespół hafciarski. Dziewczynki haftują w domu serwetki, poduszki... Potem, poprzez przewodniczącą zespołu, wymieniają swoje prace między sobą. Część haftów kaszubskich przeznaczają na dekorację szkoły.

Na działce, którą młodzi spółdzielcy otrzymali pod uprawę, założono inspekty, a w nich rosną rozsady tulipanów i kapusty. Gdy się je sprzeda, wpadnie trochę grosza do spółdzielczej kasy.

Najbardziej wyżywa się w swej pracy najmłodsza grupa, w której obok czterech dziewczynek jest także jeden chłopiec. Tworzą oni zespół kukiełkowy. Halinka Lidzbarska — najmniejsza i chyba najwesełsza z zespołu — z zadowoleniem opowiada o odniesionym sukcesie — zajęciu I miejsca na Powiatowym Przeglądzie Zespołów Kukiełkowych, zorganizowanym w br. przez Komendę Hufca w Wejherowie.

Krysia Klecha występująca w przedstawieniu w roli księżniczki, Halinka Lidzbarska w roli szewczyka i Janka Deptuła w roli rycerza śpiewają ponadto w szkolnym zespole wokalnym, do którego należy 9 dziewczynek.

Spółdzielcy, którymi opiekuje się p. Małgorzata Trella — kierowniczka szkoły, współpracują też z Klubem Rolnika należącym do Gminnej Spółdzielni w Szemudzie. Słowem wszędzie jest ich pełno.

Tekst i zdjęcia:
WOJCIECH POSADZKI

NA KAŻDYM BIWAKU PIOSENKA W PLECAKU.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonoszewiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Zam. 612. T-45.

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

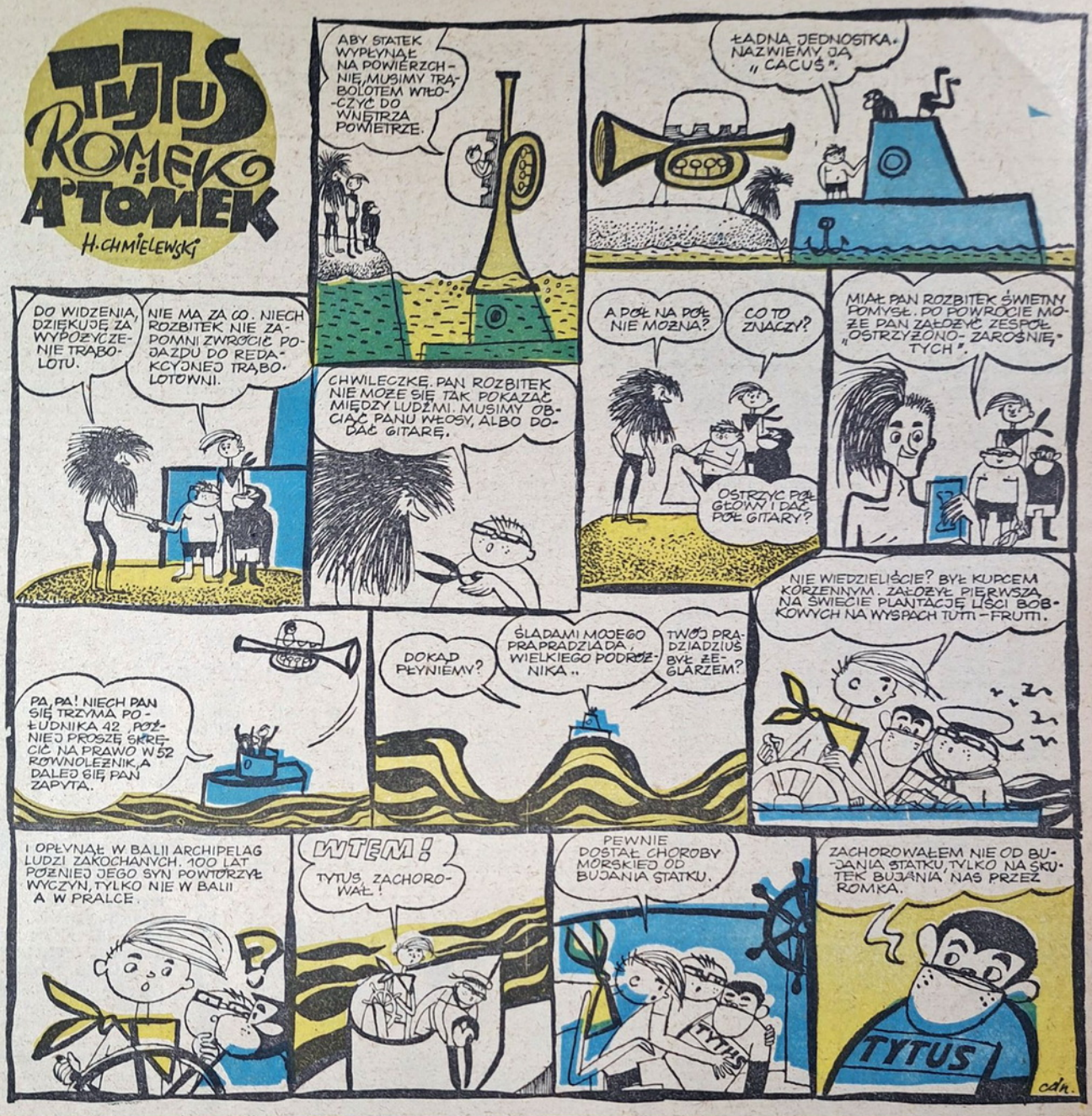

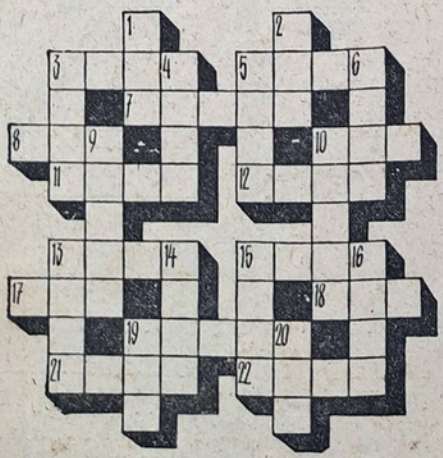

Spróbuj rozwiązać

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 3 — rzeka, granica pokoju; 5 — naczynie ze szkła; 7 — nowela B. Prusa; 8 — jednostka pracy w układzie miar; 10 — skrót nazwy instytucji, w której załatwia się sprawy zakupów na raty; 11 — wodorost morski, morszczyna; 12 — ptak, symbol mądrości; 13 — przed wyrazami dodawane znaczy „nad"; 15 — powóz odkryty lub miejsce w wagonie, budka specjalna z urządzeniem do ręcznego hamowania; 17 — gatunek wierzby; 18 — rzeka w Polsce; 19 — odmiana włóczni lub piki; 21 — wartość towaru; 22 — ptak zamieszkuje Ocean Lodowaty, na lądzie przebywa w okresie lęgowym.

Pionowo: 1 — dłuższy okres czasu; 2 — miasto w Polsce; 3 — dopływ Warty; 4 — niechęć; 5 — rozsądek, treść czegoś; 6 — wapienne pasmo młodych fałdowych gór na granicy Francji i Szwajcarii; 9 — ziemia orna; 10 — chętnie je koń; 12 — powstaje z kwiatka; 14 — miara papieru — tysiąc arkuszy; 15 — mieszkanie Asa; 16 — dopływ Wołgi; 19 — część beczki; 20 — najniższy ton głosu kobiecego.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać". Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

Zaproszenie do Czarnolasu

KOMENDA HUFCA ZHP w Zwoleniu przygotowuje się w tym roku do zlotu Hufca, na którym otrzyma sztandar i imię Jana Kochanowskiego. W związku z tym zapraszamy wszystkie drużyny noszące imię Jana Kochanowskiego z całego kraju oraz drużyny harcerskie ze szkół, które noszą imię Jana Kochanowskiego.

Zlot Hufca odbędzie się w dniach 10—11 czerwca 1967 r. w dworku Jana Kochanowskiego w Czarnolesie. W programie zlotu przewidujemy występy zespołów harcerskich, wystawienie „Odprawy posłów greckich" oraz ognisko — „Pieśń Świętojańska o Sobótce". Dla drużyn przyjeżdżających przewidziane jest zwiedzanie muzeum Jana Kochanowskiego w Czarnolesie.

CZUWAJ!
KOMENDANT HUFCA ZHP
(—) hm Tadeusz Nowicki